

Wystawa sztuki walczącej

Niecodziennym wydarzeniem w artystycznym życiu Poznania było otwarcie w salach Muzeum Narodowego imponującej Wystawy Prac Postępowych Artystów-Plastyków. Bogata ekspozycja gromadzi przeszło 400 rysunków i różnorodnych dzieł graficznych, nadesłanych do Polski przez 170 blisko artystów, pochodzących z 15 krajów kapitalistycznych.

Mamy więc okazję oglądania prac, powstających pod wpływem najrozmaitszych szkół i kierunków malarskich, operujących różnymi technikami, wyrażających rozmaite temperamente twórcze i ukazujących specyficzne cechy narodowe sztuki w poszczególnych krajach, lecz — co jest najbardziej charakterystyczne — prac o bliskiej sobie i jednakiej tematyce, przepełnionych jedną i tą samą ideologią — ideologią walki o postęp, sprawiedliwość społeczną i pokój.

O tym jak skuteczną bronią jest w rękach postępowych artystów ołówek, pióro lub rylce świadczy fakt, że prace ich są w wielu krajach nie tylko przez kapitalistyczne władze potępiane, lecz wręcz niszczone, a oni sami ścigani i więzieni. Pozbawieni możliwości wystawiania swych dzieł i chroniących się przed szykanami występować muszą najczęściej anonimowo. Nawet na poznańskiej wystawie kilku artystów amerykańskich i belgijskich nie



Brazylia — Renina Katz „Bohaterskie macierzyństwo” (drzeworyt)

mogło, ze względu na tematykę pokazanych prac, ujawnić swych nazwisk, by w oczystym kraju nie narazić się na represje szafizowanych rządów.

Z dzieł najliczniejszej grupy artystów francuskich, na uwagę zasługują prace tej miary twórców co Pablo Picasso, świętego i popularnego grafika naszych czasów Franza Masserela, Fernanda Legara, a z młodszej generacji — Bernarda Lorjou. Wśród wielu innych wystawia również swe ostre i ciete satyry najznakomitszy na Zachodzie karykaturzysta Mittelberg oraz laureat międzynarodowej nagrody pokojowej Jean Effel. Szczególnie ciekawe są dla nas Polaków prace Michel'a de Galla, przedstawiające widoki z Polski Ludowej, wykonane w czasie pobytu w naszym kraju.

Drugą liczną grupę stanowią artyści włoscy. Prace ich wyróżniają się swym odrębnym charakterem narodowym i głęboko przeżytym realizmem. Wspaniały jest zwłaszcza rysunek „Giovanni Capelli'ego — „Deportowanie Koreańczyków” i tusze Ugo Attardi'ego — „Fabryka I i II”.

Innego rodzaju są prace artystów angielskich, wśród których do najciekawszych należą rysunki i litografie dobrze znanego i popularnego w naszym kraju Paul Hogarth'a. Wystawia on serię prac demaskujących terror w monarcho-faszystowskiej Grecji. Low Bet oraz Ken Sprague ukazują szereg drzeworytów charakteryzujących

T. Pasikowski

cych się prostymi kontrastami graficznymi i wyrażaną z pasją tematyką problemową.

Spośród artystów innych krajów europejskich poważnymi osiągnięciami cieszą się plastycy belgijscy stowarzyszeni w grupie „Forces Murales”. Wstrząsający jest rysunek holenderskiego artysty Chris Beckmana — „Strzał w potylicę” oraz zachodnio-niemieckiego grafika Berta May'a — „Publiczna egzekucja w Kolonii w roku 1944” i „Nalot na dworzec w Hagen”.

Jedną z najbardziej interesujących pozycji wystawy jest zbiór prac artystów południowo-amerykańskich. Sztuka tych krajów przedstawia tragizm kolorowych ludów w Ameryce Łacińskiej oraz dramatyczne konflikty występujące w państwach uzależnionych od imperializmu Stanów Zjednoczonych. Znakomite są zwłaszcza

II Zjazd Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej wysunął na czoło węzłowe gospodarcze i polityczne zadania. Przez cały okres obrad przewijały się, jak nie przewodziła, sprawy dotyczące podniesienia stopy życiowej mas pracujących i stosunku do człowieka, które to zagadnienia niewątpliwie będą celem wszystkich naszych najbliższych poszan.

W mobilizacji sił w walce o wymienione zadania nie mała

dzieła grafików meksykańskich ze sławnym Leopoldo Mendezem na czele. Niewiele ustępując im prace artystów brazylijskich i argentyńskich. W dziele tym duże wrażenie wywołują rysunki i drzeworyty tej miary artystów co Auguier, Beltrane, Bracho, Ramirez, Katz, Pellegrini i Portinari.

Wreszcie niezwykle oryginalne i wstrząsające są niektóre prace ze Stanów Zjednoczonych. Wyróżniają się wśród nich doskonałe pod względem rysunku, koncepcji i kompozycji litografie, kredki i tusze światowych artystów White Charlesa, Williama Groppera, Harry Sternberga i innych.

W sumie wystawa jest niezwykle interesującym, choć nie pełnym, pokazem postępowej twórczości produkujących artystów świata. I dlatego Dyrekcji Muzeum Narodowego należało się słowa podziękowania za sprowadzenie jej do naszego miasta.

Gdy w Poznaniu gospodarowała endecja (2)

Krótkotrwały fajerwerk PEWUKI

Łańcuszek powiazań i zależności od kapitału zagranicznego opłatywał gospodarkę polską, która cherlała, nie mogąc w ciągu międzywojennego dwudziestolecia osiągnąć poziomu produkcji z 1913 roku. Dotknięty w wielu miejscach paraliżem przemysł, nie był ani groźnym przeciwnikiem, ani wartościowym partnerem zagranicznych monopolów. Przeważnie spełniał rolę filialnego kramiku.

Tymczasem w międzywojennej Polsce stara, szlachecka sentencja: „zastaw się — a postaw się” była ciągle żywa. Karzełkom politycznym, którzy z przypadku zasiedli w ministerialnych fotelach strasznie zależało, by pokazać, że „ich” Polska to mocarstwo całąębą. Wpadli więc na koncepcję urządzenia fajerwerku Pewuki, na której chcieli wystawić wszystko, co było w Polsce do sprzedania. Jako miejsce demonstracji wybrano Poznań.

Na ogół istniało przekonanie, że okres Pewuki zaznaczył się znacznym rozkwitem miasta, wpłynął na dobrobyt i bogactwo jego mieszkańców. Rzeczywiście — niektóre galezie przemysłu, szczególnie budowlanego, znalazły znaczny zarobek. Wzniesiono wiele nowych gmachów, pawilonów, przeprowadzono inwestycje miejskich przedsiębiorstw komunalnych (w oparciu o uciążliwy kredyt zagraniczny).

Kto zyskał na tej imprezie?

Zajrzyjmy do protokołarza rady miejskiej i zacytujmy fragment przemówienia kupca Józefa Tyliczyńskiego na posiedzeniu 7 stycznia 1931 roku, gdy omawiano kwestię budżetu m. Poznania:

„Poważną przyczyną tego zła (zubożenia kupców, przemysłowców, rzemieślników — przyp. red.), jest, naszym zdaniem, powszechna Wystawa Krajowa. Twierdzimy tak wbrew mailemniu, że PWK odniosła sukces moralny dla kraju, a może i finansowy miastu. Odtąd bowiem zaczyna się systematyczne zubożenie mieszczaństwa poznańskiego, powolne zamieranie i kureczenie się posiadanych przez mieszczaństwo zasobów gotówkowych...

Tylko do pewnego stopnia można się zgodzić z p. Tyliczyńskim. Nie sama Pewuka była przyczyną plag spadających na społeczeństwo Poznania. „Przyczyną tego zła” były niedostrzegane przez klasowych krótkowidzów burżuazji sprzeczności

ustroju kapitalistycznego. Wielki nakład finansowy, rodułmucha wrzawa wokół imprezy wystawowej, luksusowe, często pozabawione praktycznego sensu inwestycje — pogłębiły tylko kryzys, wystawiając na licytację sporą ilość przedsiębiorstw. Nie wszyscy jednak tracili, o czym ogólnikowo mówił kupiec zasiadający w radzie miejskiej.

„Pewuka, stadion, spalarnia śmieci, hotel Polonia, Palmiarnia, Szkoła Handlowa przy ulicy Śniadeckich, to nieszcześliwe sprawy, o których niechętnie tak Magistrat, jak Rada Miejska wspomina...

Przypomnijmy więc w paru słowach o tych poznańskich nieszczęściach. Stadion kosztował blisko 750 000 złotych, a potem — nim zdołano go pierwszy raz użyć — trybuna się... zawałiła.

Palmiarnię, której budowę powierzyli „narodowcy” niemieckiej firmie Hoensch, miało wybudować za 1 200 000 złotych, a przekroczone koszty o bagatelkę — „tylko” o 1 000 000 złotych. Wkraczał tam prokurator, podobnie jak do sprawy hotelu „Polonia”.

Magistrat chciał gościom rządowym i zagranicznym pokazać na co go stać. I tu panowała zasada „zastaw się a postaw się”. Hotel musiał być „extra”. Urządzenia także. Luksus. Komfort. Sale lustrzane. Apartamenty z perskimi dywanami. Meble w najdroższym gatunku. Nic więc dziwnego, iż ten sezonowy hotel (wybudowany tylko na 3½ — słownie: na trzy i pół miesiąca!) kosztował ponad 4 200 000 zł przy czym — jak sami endecy w radzie miejskiej stwierdzili — 620 000 wydano bez najmniejszego uzasadnienia, a preliminarz przekroczył o półtora miliona. Podobny rozgardiasz finansowy panował przy budowie szkoły handlowej przy ul. Śniadeckich. Tutaj wydano o 500 000 zł za dużo. Warto przy tym zaznaczyć, iż niepłatny członek Magistratu — radca inż. Cybichowski, który niewątpliwie po znajomości otrzymał zlecenie na opracowanie projektu i kosztorysu budowy, zainkasował „skromne” honorarium 86 412 złotych. Oplacało się więc pełnić funkcję bezpłatnego radcy burżuazyjnego magistratu.

Rzecz ciekawa. Niemal każda inwestycja endecckiego magistratu powinna być przedmiotem zainteresowania prokuratora. Nie umiano w sposób rzetelny załatwić nawet takiej prostej rzeczy, jak kupno taboru dla spalarni śmieci. Kosz-

Doc. dr Tadeusz Frydel
 prorektor AM
 delegat na II Zjazd PZPR

rola przypada socjalistycznej służbie zdrowia. Z dumą możemy stwierdzić, że w okresie X-lecia Polski Ludowej mamy poważne osiągnięcia w rozbudowie aparatu służby zdrowia. Ludność nasza otrzymuje coraz lepszą pomoc lekarską — z roku na rok poważnie zwiększa się liczba lekarzy. Nasze akademie medyczne wypuszczają około 2 300 absolwentów rocznie, czyli kilka razy więcej niż przed 1939 r. Niemalże zasługą posiadała poznańska Akademia Medyczna, która po wojnie dała krajowi około 2 000 lekarzy, stomatologów i farmaceutów.

Również w zakresie pomocniczego personelu dokonaliśmy znacznego postępu w skali ogólnokrajowej. Obecna liczba pielęgniarek przekracza 4-krotnie liczbę pielęgniarek sprzed 1939 r.

Poważnie wzrosła liczba łóżek szpitalnych, przeciętny przyrost roczny jest kilka razy większy od przedwojennego.

Wzrosła liczba oddziałów specjalistycznych i Instytutów (np. Instytut Balneologiczny w Poznaniu). Na wsi działa 1 700 ośrodków zdrowia i punktów lekarskich oraz 800 punktów aptecznych. Powstało na wsi 657 izb porodowych z 4 366 łóżkami, co zapewnia, że dziś już 85 procent wszystkich poro-

dów ma zabezpieczoną kwalifikowaną pomoc akuserską. Około ¼ powiatów dysponuje już pogotowiem ratunkowym. Zorganizowano przemysłową służbę zdrowia, tak, że dziś każdy większy zakład posiada placówkę zdrowia.

Zmiany gospodarcze, wzrost stopy życiowej oraz praca służby zdrowia zmniejszyły liczbę zgonów, tak, że przyrost naturalny w r. 1952 był o 82 proc. wyższy niż w r. 1938. Szczególnie na podkreślenie zasługuje spadek śmiertelności niemowląt — ogółem o 40 proc. Szybko zwiększa się dzięki temu nasza ludność. Przyrost roczny wynosi pół miliona. Tak wysokiego przyrostu Polska w swej historii nie pamięta.

Zacytowane cyfry mówią o wielkiej sile i przewadze ustroju socjalistycznego nad ustrojem kapitalistycznym. Nie mogą jednak przesłaniać nam oczu na trudności, niedociągnięcia i zaniedbania. Mimo dużego napływu nowych kadr lekarskich i pomocniczych daje się jeszcze odczuwać poważny brak personelu fachowego.

Człowiek pracy posiada obecnie większe wymagania, coraz bardziej domaga się nie tylko pomocy lekarza, ale i pomocy specjalisty: położnika, pe-

diatry, okulisty itd. Istnieje również wiele nie zaspokojonych potrzeb — ciągle brak jest łóżek szpitalnych, mimo wielokrotnego zwiększenia ich w porównaniu ze stanem przed wojennym.

Trudności te dotyczą również naszego terenu. Gospodarze naszego miasta nie rozwiązały dotychczas sytuacji lokalowej klinik: Pediatrycznej i Psychiatrycznej Akademii Medycznej w Poznaniu, co jest powodem kilkuletniego zahamowania pracy szkoleniowej specjalistów, studentów i lecznictwa.

Człowiek pracy domaga się dziś pomocy lekarza o wysokim poziomie naukowym. Dlatego przed służbą zdrowia staje zadanie podniesienia jakości pracy i poziomu fachowego. W szkolnictwie medycznym należy przede wszystkim zwrócić uwagę na sprawę jakości kadr.

Czynnikiem mobilizującym młodzież do podwyższania swe go poziomu będzie uchwała rządu o wprowadzeniu poza normalnymi stypendiami, stałych premii dla młodzieży uzyskującej postępy dobre i dodatkowych premii naukowych dla studentów pracujących w kołach naukowych. Uchwała rządu realizuje w ten sposób postulat Zjazdu partii w zakresie podniesienia stopy życiowej młodzieży.

Niewątpliwie sytuacja mieszkaniowa naszej młodzieży pod względem wzrostu lejsz ulega poprawie z roku na rok. Na terenie miasta Poznania buduje się drugi z kolei w tym roku dom akademicki przy ul. Szamarzewskiego, ale trzeba podkreślić z innej strony brak należytej opieki nad dotychczasowymi domami.

Tow. Bierut w swym referacie na II Zjeździe partii wiele miejsca poświęcił sprawie troski o człowieka. Odnosi się to również do służby zdrowia. W walce o należyty stosunek do człowieka poważne zadanie mają akademie medyczne. Kliniki muszą zapewnić nie tylko właściwe wychowanie studentów, ale winny stanowić przykład dla całego terenu w zakresie stosunku i opieki nad chorym. Postulat ten zrealizowany nie będzie bez należytej pracy polityczno — wychowawczej.

Praca ta winna przejawiać się w walce o humanitarny, socjalistyczny stosunek do człowieka, stosunek jak do brata, przyjaciela, towarzysza wspólnej idei budownictwa, w walce o nowy stosunek do pracy i odpowiedzialności, w walce o zdobywanie światopoglądu naukowego, materialistycznego, podwyższanie swego poziomu zawodowego.

Nazwa pracownika służby zdrowia winna stać się synonimem humanitarnej, ofiarnej, uspołecznionej postawy, która zasługuje na szacunek całego społeczeństwa i każdego człowieka pracy z osobna.

O takiego pracownika będzie toczyć bój nasza socjalistyczna służba zdrowia, uzbrojona w oręż polityczny, jaki daje nam II Zjazd, — o to, by uporczywym i ofiarnym wysiłkiem przybliżyć zwycięstwo socjalizmu w naszym kraju.

JANUSZ LIKOWSKI



Meksyk — Leopoldo Mendez — „Ziemia pije krew” (drzeworyt) — Do art.: Wystawa sztuki walczącej.

Gwatemala łamie „wielką pałkę“

Podobnie, jak dla Anglii fundamentem jej polityki zagranicznej aż do II wojny światowej była zasada równowagi sił na kontynencie europejskim, tak dla Stanów Zjednoczonych na przestrzeni stu z górą lat czołową maksymą w polityce zagranicznej była tzw. doktryna Monrogo streszczająca się w hasło „Ameryka dla Amerykanów“. Postępowa w okresie jej sformułowania, była skierowana przeciw kolonizatorom europejskim. Dziś stała się narzędziem imperializmu Stanów Zjednoczonych w podporządkowywaniu sobie krajów Ameryki Łacińskiej i tzw. „polityki wielkiej pałki“, która wyraża się w utrzymywaniu władzy w krajach Ameryki Łacińskiej w rękach ludzi, będących marionetkami imperializmu Stanów Zjednoczonych. Dzielę się to drogą bezpośredniej interwencji wojskowej,

nienii na plantacjach żyłi w skrajnej nędzy. Znajdując się z dala od osiedli, zmuszeni byli kupować żywność w sklepach trustu po cenach odpowiednio wyśrubowanych. W ten sposób trust wypompowuje z powrotem lwia część niedźnych zarobków. Oskar Edmundo Palma, członek Światowej Rady Pokoju, który zwiedzał plantacje trustu, opowiada o warunkach życia peonów:

„Nędzne „mieszkania“ nie chronią ich ani przed słońcem, ani przed deszczem, ani przed wichrami, ani przed owadami. Szerzy się malaria i żółta febra. Ludzie śpią wprost na podłodze, za pościel często im służy kupa łachmanów. Praca trwa od godziny 6 rano do 6 wieczór.“

A Lawrence Duggon, były pracownik Departamentu Stanu USA, zmuszony jest przyznać w swej książce o Ameryce Łaciń-



kratyczne odniosły decydujące zwycięstwo, a w czerwcu 1952 weszła w życie ustawa o reformie rolnej. Przekazuje ona chłopom bezrolnym posiadłości obszarów feudalnych i część majątków trustu owocowego „United Fruit Company“.

Byłymi właścicielami wypłaca się odszkodowanie, ale tylko w tej wysokości, na jaką ocenili sami wartość swych gruntów przy płaceniu podatków.

Ponieważ trust owocowy i miejscowi feudalowie przy pomocy oszukańczych manipulacji wykreślali się od płacenia podatków, więc suma ta jest niewielka. Oczywiście imperialiści i miejscowi feudalowie odpowiedzieli na reformę rolą kolejnym puczem, wysuwając jako swego kandydata na nowego prezydenta republiki radcę prawnego „United Fruit Company“ w Gwatemali. Jednakże robotnicy i chłopci, uzbrojeni w szerokie noże i strzelby myśliwskie, przyszliznęli z pomocą wojskom rządowym i spisek został szybko rozbity.

„NOWA“ FORMA NAPASCI

Widząc, że dotychczasowe formy interwencji przez „rewolucję“ zawiodły, imperialiści postanowili obecnie zorganizować napad z zewnątrz. Jako najodpowiedniejszą bazę agresji upatrzyli sobie inną republikę środkowo-amerykańską — Nicaraguę, której dyktatorem jest największy obszarnik tego kraju, niejaki Samosa, właściciel stu plantacji. Do Nicaragui, której armia liczy 4 tysiące ludzi, wysłano — w pierwszym rzucie — tysiąc oficerów i żołnierzy amerykańskich jako „instruktorów“.

29 stycznia br. prezydent Gwatemali Arben wystąpił z oświadczeniem Waszyngtonu o zorganizowanie spisku przeciwko Gwatemali i przygotowywaniu inwazji z Nicaragui przy użyciu samolotów z bombami napalmowymi i piechoty uzbrojonej w broń ciężką. Do oświadczenia dołączono fotokopie listów, demaskujących spisek.

W obronie Gwatemali wystąpiła opinia publiczna całej Ameryki Łacińskiej. W Meksyku powstała organizacja obrony suwerenności Gwatemali. Na zakończenie niedawno konferencji pan-amerykańskiej w Caracas (Wenezuela) rządy krajów Ameryki Łacińskiej pod naciskiem swych ludów (Meksyk, Argentyna) przeciwstawiły się próbie amerykańskiej agresji w Gwatemali. Lud Gwatemali zadal cios polityce „wielkiej pałki“.

Opracował J. B.



Chata peonów w Gwatemali

badź (najczęściej) droga organizowania puców i słynnych południowo-amerykańskich rewolucji pałacowych.

KOSZTOWNY WĘZEL KOLEJOWY

Polityka imperializmu amerykańskiego, prowadzona pod obłudnymi hasłami reformy pomocy w rozwoju gospodarczym tych krajów, w rzeczywistości prowadzi do wynaturzenia ich struktury ekonomicznej, zmierzając do utrzymania w nieskończoność zacofania, przeżytków ustroju feudalnego i nawet niewolniczego, jest w gruncie rzeczy systemem najbardziej bezwzględnej grabieży kolonialistycznej ludów Południowej i Środkowej Ameryki. Gwatemala jest typowym tego przykładem.

Wielkość czytelników niewiele zapewne wie o tym kraju. Być może, że któryś z posiadaczy pięknych znaczków pocztowych



Dziewczeta z Quezaltenango (Gwatemala) niosące wodę.

wych Gwatemali zaglądał do encyklopedii. Dowiedział się tam, że Gwatemala graniczy z Meksykiem, że leży na wąskim przesmyku, dzielącym dwa oceany — Atlantycki i Spokojny, że ma około 110 tys. km² i ponad 3 miliony mieszkańców. Ale nie znalazł tam danych, mówiących o tym, że 80 procent gwałtownych chłopów to — do niedawna jeszcze — bezrolni, pracujący jako peoni, to znaczy przywiązani do ziemi, na plantacjach feudalnych magnatów ziemskich i że największym feudałem Gwatemali, władającym 75 procentami całej ziemi, jest nie kto inny jak nowojorski trzust owocowy „United Fruit Company“. Nie znalazł również w encyklopedii wzmianki o tym, że cała sieć kolejowa Gwatemali jest własnością północno-amerykańskiego koncernu „International Railways of Central America“ i że w związku z tym monopolom transport kolejowy w Gwatemali jest najdroższym na świecie. Gdyby ktoś wyszłał jakiegoś towar z miasta Gwatemali (stolica kraju) np. do Poznania, to przewóz koleją z tego miasta do portu nad Atlantykiem Puerto Barrios (odległość 200 km) kosztowałby więcej, aniżeli cała reszta trasy.

WIĘKSZY ZYSK — NIŻ BUDŻET PAŃSTWOWY

Z plantacji bananowych w Gwatemali „United Fruit Company“ wyciągał corocznie 100 milionów dolarów zysku, to znaczy więcej, aniżeli wynosił budżet tego kraju. Ale peoni zatrud-

skiej: „Peon jest własnością gospodarstwa obszarowego w takim samym stopniu, jak było robocze i inwentarz rolniczy.“

Obrzybia część pozostałych 25 proc. gruntów Gwatemali znajdowała się w rękach 20 rodzin, stanowiących trzon oligarchii feudalno-obszarowej. W oparciu o te 20 rodzin, przy pomocy puców i rewolucji pałacowych, imperialiści utrzymywali swą władzę w kraju. W latach 1944—1950 Amerykanie w walce z demokratycznymi nastrojami ludności zorganizowali 30 zbrojnych spisków. W puczu w r. 1949 czynny udział wzięli ambasador Stanów Zjednoczonych w Gwatemali, zarazem jeden z głównych akcjonariuszy trustu owocowego — Patterson

RADCA PRAWNY „UNITED FRUIT COMPANY“ — KANDYDAT NA PREZYDENTA

Jednakże mimo wszelkich wysiłków imperialistów, mimo usilnych zabiegów o utrzymanie ludności w analfabetyzmie i ciemnocie, lud Gwatemali podjął walkę. W wyborach prezydenckich roku 1950 siły demo-

Sztuka ludu rumuńskiego

Bogata sztuka ludu rumuńskiego przechodziła różne fazy rozwoju. Monarchistyczne, a później faszystowskie rządy niewiele robiły dla rozbudzenia artystycznych uzdolnień wiejskich artystów. Dopiero rząd Rumuńskiej Republiki Ludowej w trosce o dobro narodowej kultury otworzył szkoły artystyczne, gdzie kształcą się samorodne talenty.

Chłop rumuński posiada wrodzone poczucie artystyczne i dobrze rozwinięty zmysł zdobniczy; strój, haft i tkaniny, jak też wyroby z drzewa oraz naczynia ceramiczne cieszą się zasłużoną sławą i pozyskały uznanie na wszystkich wystawach międzynarodowych. Swój stała technika tkania i połączenia z nią duża możliwość ornamentacji, zaczerpnięta z tradycji historycznych, pozwoliła na tworzenie najrozmaitszych deseni i motywów. Najbardziej charakterystyczne są wzory geometryczne; zwłaszcza na tkaninach przeznaczonych na za-



Piękny strój starej chłopki

paski i ubraniowe płachty kobiece. Są one noszone zamiast spódnic, odznaczają się wielką różnorodnością ornamentacji. Figury kubiczne są często spotykane także na okryciach poscielowych. Kilimy rumuńskie, prawdziwa chluba tkackiej sztuki, operują motywami roślinnymi, figuralnymi.

Sztuka hafciarska łączy się nierozdzielnie z ubiorem. Rumunki haftują chętnie i bardzo dużo. Koszule ich są niezwykle bogato wyszywane.

Podobnie jak słynne są na całą Polskę wyroby naszych górali, tak samo cieszą się ogromną sławą bogate w ornamentację i pomysłowości formy drewniane naczynia, sprzęty i przeróżne przedmioty wyrabiane przez rumuńskich górali z Bukowiny czy Wołoszczyzny.

Wielką rolę w zdobieniu wnętrza domów odgrywają również wyroby ceramiczne. Szczególnie dekoracyjnie prezentują się misy oraz smutki, o wąskich sztychach dzbanki.

Zdz. Okuniewski



Pracowni wykonane okazy sztuki ceramicznej budzą pochwały na wszystkich wystawach międzynarodowych.

Leszek Prorok

Wąs watazki

Majster Trębaczewicz miał w życiu jedną namiętność — cygara. Oddawał się jej w wolnych chwilach zapamiętanie i z namaszczeniem. W stolarni wszyscy znali tę słabość i uśmiechali się wyrozumiale na widok pękatej figury tonącej podczas śniadaniowej przerwy w kłębach aromatycznego dymu.

Natóg niezawsz chadza w parze z wyrozumiałością. Osoba majstra Trębaczewicza potwierdzała tę opinię w zupełności, zaś dowodów na to dostarczyć mogli praktykanci stolarni budowlanej zjednoczenia. Stosunek swój do tych najmłodszych pracowników zakładu amator cygar „Rekord“ opierał na wychowawczej maksymie pewnego przedwojennego kaprala piechoty: Co tu dużo gadać. Z młodymi trzeba tak — wykladać chętnie swe pedagogiczne poglądy — wziąć krótko i trzymać długo, jak mawiał kapral Wąsik. Ot i wszystko.

Brał zatem praktykantów jak tylko mógł i dźwierzł pewnie, jak dźwierzł w zylastej dioniz strug czy duto. — Jak baj-cujesz, drapichruscie — krzyczał na całą salę do nowicjusza, tyczkowego Kasia Pawlaczka. — To skrzydło drzwi jasne jak tytoń, a tamto ciemne jak mak. Wiesz jaki odcień ma być?

— Ab, absolutnie — odpowiadał Kazio, który się trochę jękał, a nadto w gromadce praktykanckiej uchodził za człowieka obdarzonego dowcipem i złośliwością. Zalety te gasił widocznie tajfun majstrowego gniewu.

Nieuwagi nie można było zarzucić Jankowi Stefczykowi, rumianemu blondynkowi o marzącym spojrzeniu i spokojnych ruchach. Staranny, opamowany, pamiętał, że wpusty spojeń trzeba zawsze oczyścić z wiórków przed klejeniem — będą trzymać szczelniej. Inni zapominali o tym szczególnie i wówczas gniew rozsierdzonego majstra groził tym, iż najgłębszy z pałaczy tegich cygar padnie w apoplektycznym ataku.

Janka srogi majster rządził dla odmiany ironią. Datowało się to od dnia, w którym chłopak podczas śniadania szukając spokojnego kąta, ułokował się niebacznie w pełnym rupieci kantorku za stołówką, gdzie majster Trębaczewicz zwykł się odurzać wonnym dymem. Majster dostrzegł zaczynanego chłopaka dopiero wtedy, gdy ten na sygnał syren, chcąc się wygrzebać z kąta, zaplątał się między kijkami od flag i transparentów i padł jak długi przed szefem. Z rąk wyleciała mu książka. Podniósł ją Trębaczewicz.

— A ty co tu robisz.
— Ja? Czytałem.
— Widzę, widzę. Pokaż-no tę książkę!

Majster podniósł do oczu otwarte, wygniecione stronicę i zaczął czytać powoli, dobitnie: „Panie majster, proszę wasi, Przyzwolicie, grzecznie, ładnie, Nie murować tu z napasli, Bo mu na grzbiecie co upadnie“.

W miarę czytania lew stolarni nastrozył szpakowatą grzywe. Kark i policzki nasiąkały mu pomidorową barwą.

— Co za kpiny? Co to jest? — wyrzucił groźnie z resztką dymu.

— To „Zemsta“.
— Co za zemsta? Na kim ty się chcesz mścić? — Patrzył groźnie na chłopca i myślał: kpić będą z ciebie mlókosi, jeśli im pofolgujesz.

Janek stumił uśmiech. — „Zemsta“, taka książka dla teatru. To grają na scenie. Majster uspokoił się i zwrócił podniszczony egzemplarz.

— Lepiejbyś podreznik stolarski czytał, niż takie tam dziwactwa.

— A jakże, codziennie czytam, ale to także, bo ja, panie majster... — Janek zawałał się i ściszył głos — „...bo ja kocham teatr, panie majster.“

Od tej pory Trębaczewicz nie krzyczał na zamyślonego chłopca jak na innych, ale obdarzył go złośliwym epitetem: aktor! — Aktor, pojedziesz z parapetami na budowę przy Chociłowskiego, albo: aktor, zobacz-no czy klej się zagotował.

Zadzierzatego brygadiera stolarni dziwiło mocno, że chłopak nie protestuje przeciw ironicznej nazwie. Mogło się nawet wydawać, że Janek bierze

ją poważnie. Istotnie, czasem na słowo aktor chłopak wzdychał żalostnie: żeby to, żeby to, panie majster, — i spokojnie wypełniał polecenie. Złośliwość chybiała celu.

Wkrótce po zajęściu w kantorku nastąpił fakt, który wykrzyknikowi majstra odebrał charakter sztycher. Przy zjednoczeniu powstał sceniczny zespół amatorski i kilku pracowników stolarni weszło w jego skład. Był oczywiście wśród nich Janek Stefczyk.

Rozpoczęła się piękna epoka w jego życiu. Trzy razy w tygodniu mył się po pracy przedziewając. Pospiesznie łykał obiad i biegł do tramwaju. W niskiej salce baraku przy bazie transportowej zjednoczenia zbierał się zespół i każdy przeżywał chwile niezwykłych wzruszeń. Mógł się stawać na przemian krakowiakiem z podwawelskiej wioski, skłóconym z gromadą swarnych podhalańskich juhasów, czy też oświeconym patriotą, Walerym, który po powrocie z XVIII-wiecznej Warszawy gromi pustotę mod-



nia Szaermanckiego. Mógł także jako jeden z tysięcy walecznych murarzy wznosić na scenie domy rosnących polskich miast.

Majster Trębaczewicz nie zaglądał nigdy do baraku za garażami bazy. Nie interesował się pewno, a może nawet nie wiedział o pracy czy istnieniu zespołu. Przychodził za to w długie jesienne wieczory inni goście: instruktor teatralny ORZZ, czasem zaś aktorzy zawodowi. Nie szczędzili rad.

— Ach, żeby tak kiedy zagrać w prawdziwym teatrze — marzył głośno Janek Stefczyk, wracając kiedyś po próbie z Kasiem Pawlaczkiem, którego także zaciągnął do baraku.

Kazik nie był marzycielem. Od dłuższej chwili obserwował niebo; w odpowiedzi mruknął pod nosem: Idzie mróz. Gwiazdy świecą absolutnie! Marzenia roztopiły się w śniechu, jaki zawsze budziła Kazi-kowa mania nadużywania obcych słów.

Janek pochodził z malenkiego Szamocina. Urzekł go tam kiedyś Szekspir na występie gnieźnieńskiej sceny objazdowej. Chłopiec marzył odtąd o teatrze, marzył nawet wtedy, gdy zdecydował się iść na kurs stolarski, do Szkoły Przemysłowego. Urodził się widać pod szczęśliwą gwiazdą. Miała spełniać szybko i nieoczekiwanie jego pragnienia. Jesienne chłody nie zdążyły chwycić na dobre, gdy razu pewnego zawołano go do telefonu. Dzwonił referent „kao“ ze zjednoczenia. Trębaczewicz grzmiał na praktykanta, usiłując przekrzyknąć żagot rozpedzonych pił i zgrzyt frezarki. Gdy Janek podszedł do aparatu, pokiwał niechętnie głową. — Ze zjednoczenia do smarkaczy dzwonią; na nie im w głowie przewrócić. Nie ma to, jak radził kapral Wąsik: wziąć krótko — trzymać długo!

„Kao“ nie tracił czasu na zbędne słowa.

— Słuchajcie, Stefczyk. Możecie przez kilka dni pograć w teatrze?

— W teatrze?

— A tak. W Polskim. Jako statysta.

Janek nie mógł pojąć o co chodzi. Tamten wyłuszczył sprawę telegraficznie.

— Słuchajcie, jest tak. Ktoś zachorował i dyrekcja zwróciła się, że może ktoś od nas zastąpi. Nie trudnego. Idzie taka sztuka „Czarniecki“, wiecie? Podobno w drugim akcie stoicę kwadrans na scenie — to wszystko. No i jak?

Jankowi serce zabiło tak głośno, że przelakł się, iż tamten w zjednoczeniu usłyszał grał stuk, mimo szumu, jakim grała

hala maszyn za plecami. Stara się przełamać drżenie w głosie, gdy odpowiadał powoli: dobrze mogę!

Na scenie rok 1655. Do namiotu króla szwedzkiego po Krakowie przybyło grono magnatów-zdradców z hetmanem Koniecpolskim na czele, by przypieczętować swe zaprzęstwo. W grodzie wawelskim broni się ostatnia ostoja kraju — Stefan Czarniecki. Przed wrogiem, wśród wzorzystych płócien namiotu rozegra się tragiczna, ohydna scena dziejowa.

W gromadzie wielmożów odzianych w pyszne delie, koniusze i czamary, stoi Janek Stefczyk. Ubrany równie wspaniale jak tamci, jest kresowym watazką, popiecznikiem zdradzieckiego hetmana. Obfity podkład szminki oraz przyklepione długie wąsy palą twarz chłopca ogniem. A może i to takżę iż stoi niemal na froncie świąt.

Gdzieś wysoko wśród mrowia spojrzeń — Jankowi gości: czarnowłosa Hala z sąsiedniego Peesesu, gdzie cała stolarnia kupuje bułki i piwo; przysłała z koleżanką, a z nimi zabrał się Kazio Pawlaczek. Zarówno w osobliwy sposób dawał przyjacielowi odwagi: — Janko ryzykant z ciebie mój stary, no, ale trzymaj się. Nie zrób nam wstydu.

— Nowy, nowy — śmiali się inni statysty w garderobie — czekajno bracie. Jeszcze fryzowego nie płacił. Zobacząco to do prawdziwa scena.

Już Koniecpolski ucałował rękę najedźdźcy, pieczętując swą hańbę. Już szwedzki kanclerz Oxenstierna wzywa do spełnienia toasty. Naraz jak ostrzeżenie nie zagrały z murów wawelskich działa Czarnieckiego, a ślad tracił Janka lekko w łokieć.

— Co, co jest? — spytał chłpiec zaniepokojonym szeptem.

— Nic. Lewy wąs ci się odkleił.

Myśl szybka jak ciecic nożem. — Co począć? Pełny na pięciu obraz i naraz postać jednego wąsa na przedzie. Do pieroż bym się zbliżył. Ale o czego szybka decyzja.

Zdecydowanym ruchem zerwał prawy wąs, nie bacząc na ból tak silny, że załzawił oczy. — Przynajmniej będzie równo — uspokoił się w myśli. Nie mógł tylko zrozumieć, dlaczego inspicjent daje mu zza kulis rozpaczliwe znaki, a z tyłu świąt dobiega cichuteńki chichot.

Publiczność owego pamiętnego dnia przechwalała długo nie zwykłe wrażenie jakie wywarła końcowa scena drugiego aktu, a zwłaszcza ten moment, gdy kresowy watazka szarpnął za wąs. Na piętrze doczekało się to nawet głośniejszego komentarza.

— Czy on zwariował? — rzuciła czarnowłosa Hala z Peesesu do tyczkowego praktykanta stolarni — Panie Kazio, dlaczego on urwał wąs?

Nim zapytany zdążył odpowiedzieć wyrzucił go jakiś sąsiad, zapewne bywalec, o wy-



pomadowanych, pachnących włosach. — Nic się pani nie orientujesz. Tak w sztuce musi być. Z rozpacy te wąsy rwie. Z rozpacy, że ojczyznę zdradza. To widać od razu. Oho, dobra gra. Zaś platynowa blondyna, jego towarzyszką doruciła tonem sentencjonalnym i z niewątpliwą wyższością: Na teatrze trzeba się znać, no nie Michaś?

Mógłby ktoś przypuścić, że pierwsze tak niefortunne zetknięcie z prawdziwą sceną o studiowało poważnie w Janku teatralne zapęły. Nie podobnego. Prawdziwe ukochanie nie boli. (Ciąg dalszy na str. 4.)

Podróż w trzeciej tysiąclecie

Radziecki znakomity geolog, członek Akademii Nauk ZSRR W. Obruczew z okazji XII Zjazdu Komunistów ogłosił artykuł, skierowany do młodzieży, w którym omawia perspektywy wiedzy ludzkiej w niedalekiej przyszłości. Z pracy tej podajemy kilka fragmentów.

„Wiem — pisze prof. Obruczew — że wielu z was, młodzieży, marzy o wielkich podróżach badawczych, odkryciach i wynalazkach i że wielu z was, marzy o wielkich podróżach badawczych, odkryciach i wynalazkach, że Ameryka i obydwa bieguny są odkryte. Jaka szkoda, że nie żyjemy w czasach Kolumba lub wielkiego podróżnika Przewalskiego. Dziś jest już niestety wszystko odkryte.”

Jeżeli budzą się takie myśli wśród młodzieży, winę ponosi tu nieumiejętna popularyzacja wiedzy, która interesując i zachęcająco mówi o przeszłości, a mało, skąpo i niechętnie pisze o tym, co jest jeszcze nieznanym, nieodkrytym i niezbadanym. Tymczasem otaczają nas nieposzczególne białe plamy, lecz dookoła nas rozciąga się wielki ocean świata nieznanego. I im więcej wiemy, tym częściej stajemy przed zagadkami natury.

Kontury brzegów morskich, góry i rzeki wniesione już zostały na mapy. Lecz co wiemy o wnętrzu naszej ziemi? Nasze kopalnie i głębokie wiercenia są to tylko ukięcia szpilki powierzchni ziemi. Objechaliśmy wszystkie lądy, odbyliśmy niejedną podróż dookoła świata, ale człowiek wniósł się do dotychczas tylko na 22 km ponad powierzchnię ziemi i pograżył się w ocean tylko na głębokość 4 km. Głębiny morskie i atmosfera, wnętrza ziemi, planety i system słoneczny czekają wciąż na swoich Kolumbów.

Jakie zadania stają obecnie przed nauką?

Wymieńmy z nich kilka najważniejszych:

1. Gdy chodzi o żywego człowieka, nauka musi przedłużyć jego życie do 150—200 lat, wytrzebić choroby zakaźne, a schorzenia niezakaźne zmniejszyć do minimum. Nauka musi przezwyciężyć słabość starości, a ludziom, którzy ulegli nieszczęśliwym wypadkom, przywracać życie.

2. Trzeba oddać na użytek człowieka wszystkie siły natury, energię słoneczną, wiatry i ciepło wnętrza ziemi, zużytkować energię atomową w przemyśle, transporcie i budownictwie oraz stworzyć zapasy energii, aby ją można stosować w dowolnym miejscu i czasie.

3. Przewidzieć i ustrzec człowieka przed żywiołowymi katastrofami, powodzią, orkanami, wybuchami wulkanów i trzęsieniami ziemi i unieszkodliwić je na zawsze.

4. Wyhodować nowe gatunki zwierząt i roślin, które by szybciej rosły i dawały więcej mięsa, mleka, wełny, zboża o woców i drewna na potrzeby gospodarki.

5. Trzeba oddać na użytek człowieka nieurodzajne tereny, jak: bota, góry, pustynie, tajgi i tundry, a nawet dna mórz.

6. Człowiek musi opanować klimat, regulować kierunek wiatrów i ciepła, jak się obecnie reguluje bieg rzeki, kierować dowolnie chmurami i przystosować je do potrzeb człowieka, tj. gdy zechce mieć deszcz, aby był deszcz, a gdy pogoda, aby świeciło mu słońce.

Czy wymagania, jakie stawiamy człowiekowi i przyrodzie są trudne? Bezwarunkowo trudne, ale niezbędne. Ludzie radzieccy i nie tylko radzieccy chcą żyć długo, chcą żyć w dobrobycie i bezpieczeństwie, chcą kraje swoje uczynić szczęśliwymi. Ale to wszystko trzeba kiedyś wykonać. Nie wierzę, że odkrycia dokonały się miłochodem, w błyskawicy myśli. Wszystko, co wzmnieć do ręki było kiedyś obmyślane i zbadane przez człowieka, wszystko co dziś łatwo wpada nam do głowy już dawniej było prze-myślane i rozważone w trudzie myśli. Tylko na konkretnych faktach, tylko na podstawie do-

świadczeń można budować przyszłość.

Fakty są kamieniami węgielnymi, na których zbudowane jest ludzkie doświadczenie. Szukajcie niestrudzenie faktów, czerpcie je z przyrody i książek, pogłębiajcie swój zawód, ale nie zapominać o innej nauce. Geolog, który doskonale zna geologię, jest wartościowym człowiekiem, ale kto zna przy tym geografie, chemię lub botanikę ten może stać się wielkim odkrywcą. Urodziliście się w wolnym kraju, w którym każdy może się uczyć, gdzie twórcza praca jest szanowana i otoczona opieką. Starajcie się, aby wasza praca była godną wielkiej epoki, w której żyjecie. Pracujcie i twórcie! Szczęśliwej drogi w trzeciej tysiąclecie!”

(opr. HB)

uwaga
TO NIE SĄ
EGIPSKIE
HIEROGLIFY

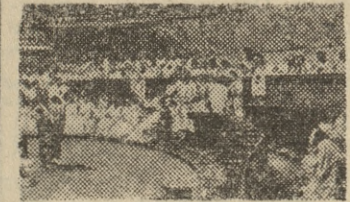
czy pismo chińskie, jak to się może niejednemu na pierwszy rzut oka wydaje; jest to stenografia, czyli pismo zbudowane na skrótach, odpowiadających najczęściej występującym literom, czy słowom.

Utrwalenie myśli za pomocą pisma stanowiło jeden z pierwszych kroków w rozwoju cywilizacji ludzkości, ale ten twór geniuszu ludzkiego z trudem tylko spełniał swe zadanie. Rychno człowiek przekonał się o nieudolności swego dzieła i już w zamierzchłej epoce szukał sposobów umożliwiających utrwalenie na papierze każdego nawet najszybciej wypowiedzianego słowa.

Próbowali już Egipcjanie

Już w starożytności Egipcjanie usiłowali uzyskać to poprzez uproszczenie znaków alfabetu i wygodniejsze ich łączenie. Grecy przez budowanie

krótszych znaków utworzyli zgłoskowe — Rzymianie zaś przez zebranie dowolnie wymyślonych znaków na całe wyrazy i ich końcówki utworzyli pismo symboliczne. Ta ogromna ilość znaków powstała z rozmaicie przekształconych początkowych liter, wyrazów, przy czym najracjonalniejszym tworem świata starożytnego na polu stenografii były tak zwane „notae Tironianae”, które szybko rozpowszechniły się w imperium rzymskim. Znałe latyńskim uczonym, kupcom były



Mowa oskarżycielska Katona w senacie rzymskim przeciw Katulinie była już stenografowana. Był to system wynaleziony przez Tirona, zwany od jego imienia „tironskim”. Działo się to 63 lata przed naszą erą.

szeroko stosowane w życiu politycznym.

Kłopoty
anty-znych stenografów

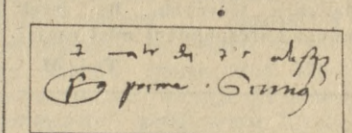
„Notae” były nawet plagą mędrców, zwłaszcza gdy błędnie stenografowali (używamy współczesnego określenia) mowy w senacie. Narażali się bowiem na ciężkie kary, jak na przykład jeden z nich, któremu z rozkazu cesarza... poprzeczono żyć w palcach za niedokładne „notae Tironianae”. W tym okresie czasu opanowanie tej umiejętności stanowiło przedmiot nauki i niestrudzonych zabiegów w szkołach, bo przecież nie tak łatwo było wtłoczyć w umysł suchy spis znaczników, dochodzących do 13 000, uformowanych bez specjalnego systemu. To mozolne przyswajanie sobie tysięcy różnych znaków doprowadziło do tego, że pewnego razu zrozpaczeni uczniowie zamordowali nauczyciela, chcąc w ten sposób uchronić się od dalszych trudów związanych z wchłanianiem tej wiedzy.

Pierwociny stenografii spotykamy więc w pierwszych wiekach naszej ery, lecz później, przez kilkanaście wieków, zanika ona prawie zupełnie.

System geometryczny
i graficzny

Dopiero czasy nowożytne i rozkwit parlamentaryzmu w Anglii w XVII wieku przywrócił stenografii jej rolę, a John Willis w 1602 roku opracował pierwszy, samodzielny alfabet stenograficzny na zasadzie geometrycznej. Zastosował on symboliczną wokalizację i pierwszy nazwał to pismo stenografią. Po wielu kolejach angielskie systemy geometryczne stały się wzorem opracowań dla języków: hiszpańskiego, portugalskiego, holenderskiego i japońskiego.

Ojczyzną systemów graficznych w stenografii są Niemcy, gdzie w roku 1854 Fr. Ksaw. Gebelsberger zastosował upro-



Notatki stenograficzne z wykładu Lutra w 1527 r.

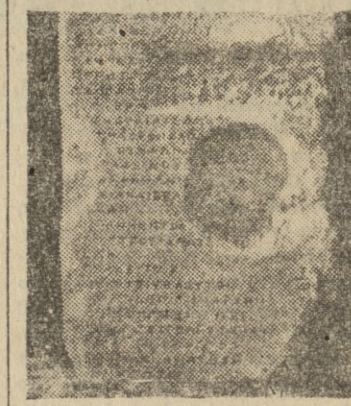
szerzenie za pomocą grup spółgłoskowych, zgłoskowych i oryginalnie rozbudowanego systemu skróceń logicznych.

Stenografia polska rozwijała się w początkowym okresie na gruncie systemów geometrycznych. Rychło jednak zapanował prawie wyłącznie kierunek gra-

ficzny, wprowadzony przekładem systemu Gebelsbergera przez Józefa Polńskiego. Posiada on do dnia dzisiejszego najwięcej zwolenników.

Nauka powinna być
powszechną

Korzyści płynące ze skróconego pisania doceniono w ZSRR, w Czechosłowacji, NRD czy na Węgrzech, gdzie każda maszynistka umie stenografować, a nie ma jednostki admi-



Około 2,300 lat ma ten antyczny dokument — próba stenografii, lub reformy pisma. Marmurowa tablica została znaleziona w 1883 roku na słynnym Akropolis w Atenach

nistracyjnej lub naukowej, bez wykwalifikowanej siły stenograficznej.

U nas sytuacja w tej dziedzinie jest nieco inna. Dziesiątki tysięcy młodzieży akademickiej i szkół średnich męczy się przy odrębnym zapisywaniu wykładów profesorów, notuje niedokładnie, poświęcając później długie godziny na uzupełnianie brulionów i robienie wyciągów w bibliotekach, chociaż przy znajomości stenografii można tę pracę kilkakrotnie skrócić, a zaoszczędzony czas inaczej zużytkować. Dlatego też wydaje się, że szkolnictwo nasze wzorem szkolnictwa radzieckiego, czeskiego, niemieckiego winno wprowadzić stenografię do wyższych klas szkół średnich.

Br. L.

*) Parę linijek (niewiele zagmatwanych) w tytule tworzy następujące zdanie: „Stenografia jest starą sztuką. Dziś każdy nowoczesny człowiek powinien posiadać tę trudną, a niezmiernie pożyteczną sztukę.” Dwa zdania są dość długie — a stenograficzny zapis: krótki.

Reportaż z ziemi dotąd nam nie znanej

...Porucznik Sadowski przypatrzył się z boku Kirkowi. Zastanawiał się nad czymś, wreszcie zapytał:

— Skąd znacie polską mowę?

Kirk chytrze przymrużył oczy. Podkreślił wazę, stuknął kijem o zmarznąłą ziemię i jednym tchem wyrzucił z siebie:

— Jestem Kaszubą! Żołnierze ze zdumieniem spojrzeli na siebie. Z twarzą porucznika można było wyczytać zakłopotanie. Polak?

— Ano widziacie, panie oficerze — ciągnął Kirk — jesteśmy tutaj urodzeni, z dziećmi prądziada żyjemy na tych bagnach. Oczywiście rai mówili gadką kaszubską, śpiewali kaszubskie pieśni...

Oto fragment początku ciekawego reportażu z Zachodniego Pomorza, który ukazał się na półkach księgarskich. Czy znacie Słowińców z okolic Słupska? Czy znacie rybaków, którzy po długich latach niewoli pruskiej znaleźli w wyzwolonej Polsce Ludowej możliwość rozwoju, wolność, odszukał zagubioną godność człowieka? Noszą osobliwe imiona i nazwiska, brzmienie jakoś starosłowiańskie. Tkwi w ich życiu nadmorski, uroczysty, który ry autor reportażu Tadeusz Bolduan podpatrzył i pięknym językiem podał do druku. Dlatego warto się tym w dawnictwem zainteresować.

*) „W krainie Słowińców” — Tadeusz Bolduan — nakł. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza — 1954 r. — str. 100, cena 2,10 zł.

Przygody SS „Kiliński”

SS „Kiliński” miał w ubiegłym roku wyrażnego pecha. Najpierw, podczas corocznego przeglądu, który odbywał się w antwerpijskich dokach, okazało się, że remont statku potrwa dłużej, niż zaplanowane trzy tygodnie. A potem zastraj kowali dokerzy w Antwerpii i „Kiliński” na dobre utkwiał na stoczni.

Załoga targowała wtedy sprzeczne uczucia. Polscy marynarze byli sercem po stronie robotników, którzy strajkiem walczyli o swoje prawa. Ale z drugiej strony — coraz poważniej zaczęli się obawiać, czy zdołają wykonać swój roczny plan (bo statek, jak każdy zakład pracy, ma też swój roczny plan — plan przewozowy). Upiływały tygodnie, a „Kiliński” wciąż stał w Antwerpii. Dopiero po trzech miesiącach wyszedł z doku, gdzie według planu miał stać tylko 21 dni. Jak nadrobić stracony czas, który „wypadł z planu”?

Załoga postanowiła zrobić wszystko możliwe dla utrzymania maszyn i urządzeń statku w takim stanie, aby z jej winy nie wynikło żadne opóźnienie, żaden przestój. Szczególnie troszczono się o konserwację urządzeń przeładunkowych. Nie rzadko zdarza się bowiem, że przy ładowaniu „nawali” jakas winda — i w rezultacie niepotrzebnie przedłuża się postój statku w porcie.

Dzięki wysiłkom załogi powoli odrabiano stracony czas. Szanse wykonania rocznego planu poważnie się zwiększyły. Ale pech nie opuścił statku i w ostatnim zeszłorocznym rejsie.

6 września „Kiliński” wypłynął z Gdyni z ładunkiem maszyn i urządzeń dla Chińskiej Republiki Ludowej. W Colombo na Cejlonie brał jeszcze kauczuk do Dairenu. I właśnie w Colombo po raz drugi w tym roku trafili nasi marynarze na strajk robotników portowych. Nie porzucili oni pracy, lecz na znak protestu przeciwko wyzyskowi kapitału listychnych przedsiębiorców, wykonywali ją w zwolnionym tempie. Ruchliwi i zwinni zazwyczaj Syngalezi snuli się przy robocie powoli i sennie — jak lunatycy. Marynarze z „Kilińskiego” po raz drugi znaleźli się w rozterce: w pełni solidaryzowali się ze swymi kolorowymi braćmi — ale dni uciekały. Było tych nadpręgowych dni postój w Colombo aż siedem.

Wreszcie „Kiliński” wziął kurs na Dairen. I znowu pech: na Oceanie Indyjskim i Oceanie Spokojnym bez przerwy silny sztorm. Przy normalnej szybkości szesnastu mil na godzinę dziób statku tak głęboko wrzynał się w fale, że groziło to awarii. Trzeba było zmniejszyć szybkość do dziesięciu mil. Sztorm trwał całą drogę — w rezultacie „wypadł z planu” dalsze cztery dni.

Sytuację mógł uratować jedynie szybki, błyskawiczny przeładunek w dwu portach chińskich: Dairenie i Tsing-Tao. Niestety, porty te nie mają nowoczesnych urządzeń przeładunkowych, większość pracy wykonuje się w nich ręcznie.

Przedstawiciele załogi „Kilińskiego” zwrócili się z prośbą o pomoc do towarzyszy chińskich. Udali się do sekretarza miejskiego komitetu KPCh w Dairenie i opowiedzieli mu o swoich trudnościach. Spotkali się z pełnym zrozumieniem i natychmiastową pomocą.

Ze wzruszeniem i podziwem opowiadał marynarze z „Kilińskiego” o pracy chińskich robotników.

Gdy ilość robotników portowych okazała się niewystarczającą do szybkiego przeładunku — miejski komitet partii zmobilizował 800 robotników z miasta: gdy tempo przeładunku zaczęło słabnąć z powodu niedostatecznego transportu — postarali się o samochody. Po kilku razy dziennie zjawiali się na „Kilińskim” sekretarz komitetu miejskiego, sprawdzał, jak idzie przeładunek i pytał załogę, czy jeszcze czegoś nie trzeba.

Z takim samym przyjęciem spotkał się „Kiliński” w Tsing-Tao, skąd zabierał drugą część ładunku. Dzięki braterskiej pomocy towarzyszy chińskich, sytuacja była uratowana. Resz-

ta zależała już od załogi: utrzymać statek w takiej sprawności, aby w drodze powrotnej nie stracił ani godziny. Wtedy będzie możliwe nie tylko wykonanie, ale i przekroczenie rocznego planu.

Coraz bliżej było do kraju. Równocześnie rosły szanse przekroczenia planu. Ale i w drodze powrotnej nie ustrzegł się „Kiliński” od opóźnienia — krótkiego, bo trzygodzinnego. Tylko tym razem nie był to już pech.

W Zatoce Adeńskiej na horyzoncie zjawił się mały, brudny szkuner, który na widok „Kilińskiego” zaczął dawać rozpaczliwe sygnały. Znalaziono na nim dziewięciu półżywych z głodu i pragnienia marynarzy — Arabów i Murzynów. W łamanych słowach mieszaniny języków, jakich używa się przy brzegach Afryki, a przede wszystkim — na mgi wyjaśnili, że ogarnęła ich zaboja dla żaglowca cisza morską, a żaden z angielskich statków, licznie kursujących na tej trasie, nie chciał tracić czasu na udzielenie im pomocy — przecież to „tylko kolorowi”. Głina z wyczerpania załoga otrzymała pomoc dopiero od polskiego statku.

7 lutego „Kiliński” zawinął do Gdyni. Był to powrót zwycięski — plan roczny w tonomilach został wykonany w 110,5 proc.

Z. S.

Radzimy sobie wzajemnie

Otrzymałam list, w którym czytelniczka M. M. porusza niezwykle istotny problem. Pisze ona:

„Zwracam się do Pani Julii Seweryny i Czytelniczki „Głosu” z prośbą o pomoc i radę. Mam dwadzieścia lat. W zeszłym roku poznałam chłopca, który przez okres pierwszych miesięcy wydawał mi się idealnym.



Któregoś dnia, gdy wracałam do domu, dostrzegłam jakiegoś zbiegowiska. Tłum otaczał dwóch bijących się chuliganów. Bijący asystowało kilku innych, którzy zagrywali tamtych do bicia okrzykami. Podeszłam bliżej. Jednym z bijących się chuliganów był mój chłopiec. Zobaczyłam go i prze-

rwiał bijatykę. Nie czując aż do mnie podjeżdżałam, uciekałam. Przez dwa miesiące wielokrotnie próbowałam nawiązać z nim kontakt. Sprzeciwiałam się temu. W ubiegłym tygodniu wybaczyłam mu, a przed kilkoma dniami spotkałam go podchmielonego na ulicy. Droga pani Julia, nie muszę pisać o tym, jak mi ciężko Zerwałam z nim, ale nie wiem, czy postąpiłam słusznie. Wydaje mi się, że nie zasługuję na moje uczucie, nie jestem jednak pewna, czy dobrze zrobiłam. Proszę o kilka słów.”

Droga Koleżanko! Jeśli naprawdę i szczerze kocha Pani swego chłopca — nie należało od razu rzywać. Czy próbowała Pani wyrwać go ze złego towarzystwa? Czy zrobiła Pani wszystko, aby skierować jego zainteresowania w stronę pracy, lub nauki? Czy rozmawiała Pani z nim tak, jak tylko może i powinno rozmawiać ze sobą dwoje

mlodych i kochających się ludzi?

Wiem Pani na pewno, jak wielki wpływ ma kobieta na mężczyznę, a przede wszystkim — na mgi wyjaśnili, że ogarnęła ich zaboja dla żaglowca cisza morską, a żaden z angielskich statków, licznie kursujących na tej trasie, nie chciał tracić czasu na udzielenie im pomocy — przecież to „tylko kolorowi”. Głina z wyczerpania załoga otrzymała pomoc dopiero od polskiego statku.

chłopca. Rozumne uczucie podkłada Pani słowa do tej pierwszej, po chwilowej rozłące rozmowy. To samo uczucie powie Pani, jak daleko postępować, aby wyprowadzić go na dobrą drogę.

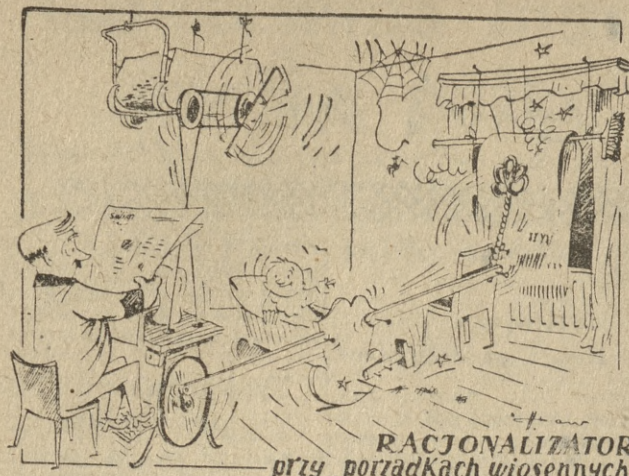
No, a teraz droga M. M., proszę się uśmiechnąć. Jak najcieplej, jak najpromiennie. I z tym uśmiechem proszę wyjść mu na przeciw.

A może czytelniczka zabrała głos? Każda przecież kobieta ma „swoje” sposoby na różne tego rodzaju konflikty. Może i naszej M. M. doradzi?

Julia Seweryna

P. S. Zaczynam trzy modele wiosennych fryzur dla rościń i jednego łosie mówią: czek. naszej Czytelniczki.

*) „W krainie Słowińców” — Tadeusz Bolduan — nakł. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza — 1954 r. — str. 100, cena 2,10 zł.



RACJONALIZATOR
przy „porządkach wiosennych”

Sprawozdawczość to grunt

Kierownik techniczny POM-u w Ząbkach Dolnych spojrzal z zadowoleniem na arkusz papieru, który zawierał sprawozdanie cyfrowe i opisowe GOM w Ząbkach Górnych. Spojrzal z zadowoleniem, nie zapoznawszy się nawet z treścią sprawozdania, a bowiem wiedział, że w Ząbkach Górnych zawsze wszystko jest w porządku. I nie omylił się. Ze sprawozdania tego jasno i niedwuznacznie wynikało, że wszelkie prace remontowe do akcji wiosenno-siennych zostały wykonane przed terminem oraz w 100 proc.

Was watażki

(Dokończenie ze str. 2)

się trudności. A czasem bywa przeciwnie. Przyszłości czynią cel i dążenie bardziej cennym i bliskim. W teatrze uśmiecha się co prawda do rozpuku z jedynym magnatą. Gdy zapadła kurtyna śmiali się aktorzy, śmiał się inspicjent, a Janek rumienił się tak potężnie, że barwa jego wstydu przebiła szminkę i sięgnęła po same białka oczu. Rumienił się tak do chwili, gdy sam Stefan Czarniecki ujął go mocno za dłoń.

— Nic się nie przejmuj, kolego — mówił dyrektor teatru, grający rolę. — To prawo teatru, stare jak świat. Każdy kto przekracza kulisy sceny musi być gotów do opłaty fryzowego. Nie żywcie zatem uraż. Jesteście już przecież aktorami.

Pozostał nim Janek na tej scenie przez szereg dni. Tak długo, jak szedł „Czarniecki”, a gdy był potrzebny nowy statysta, ściągnął nieodłącznego Kazia. Teraz Pawłacyk nosił się dostojnie, a gdy go zaprosić na wieczór do świetlicy, odpowiada z powagą: Nie mogę. Jutro vice versa, pojutrze próba generalna. Rozumiesz ty, co to jest?

„Czarniecki” zszedł już dawno z afisza, lecz Janek pozostał w kręgu teatralnej rodziny. Znajdziesz go często w poradni dla teatrów ochotniczych, która czynna jest przy Teatrze Nowym. Jako aktywista zespołu zakładowego poświęca wolny czas, aby pogłębić swą wiedzę o pięknej sztuce scenicznej.

A najdziwniejsze ze wszystkich jest to, że nawet srogi lew stolarski, majster Trębacz-Kiewicz, też w końcu dał się zdobyć dla sztuki. Gdy Janek dostał dwumiejscową wejściówkę na „Osobliwe zdarzenie” Goldoniego, po długiej i niełatwej walce wewnętrznej poświęcił smoliste oczy Hali z Peesesa dla krzykliwego zwierzchnika. Zaprosił majstra do Komedii Muzycznej.

Trębacz-Kiewicz zdecydował się nie od razu, ale nie żałował. Gdy holenderski kupiec Filibert zaplątał się w końcu we własne sidła, zaczął z uciechy klepać sąsiada po kolanie, a po przedstawieniu, już w szatni — możecie to sobie wyobrazić? — poczęstował młodego praktykanta mocnym jak pieprz i wonnym jak perfumy nowiutkim cygarem. Rekord. Janek przyjął niełatwy dar z szacunkiem i oznajmił, że cygaro wypali w domu, w myśli jednak gotował dlań inne przeznaczenie. Wyjaśnił je nazajutrz Kaziowi, pokazując mu upominek.

— Przyda się na rekwiizyt, nie uważasz? Tytuł majstrów fabrycznych we współczesnych sztukach. Dlatego nasz majster sceniczny nie miał zapalić cygara?

— To rozumiem! — uśmiechnął się kierownik techniczny POM w Ząbkach Dolnych. — GOM w Ząbkach Górnych może służyć za przykład i wzór. Nie tylko sprawozdania przyszła w terminie, ale w ogóle. Przez cały rok tam nie zaglądałem, a mimo to jestem pewny, że wszystko jest w porządku. Doceniają sprawozdawczość, ot co! Odłożywszy sprawozdanie do teczek z napisem „sprawozdania”, kierownik techniczny POM w Ząbkach Dolnych zauważył leżącą na stole gazetę.

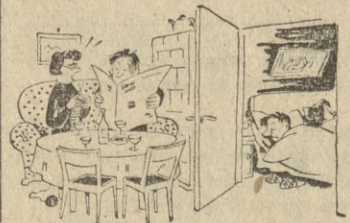
— Trzeba być w kontakcie z terenem! — pomyślał słusznie. — Zobaczymy, co w gazetach piszą o przygotowaniach do akcji wiosenno-siennych.

„GOM w Ząbkach Górnych — przeczytał zdziwiony — zapomniał zupełnie o tym, że jest już wiosna. Traktory dotychczas nie zostały wyremontowane, a siewniki od jesieni ub. roku stoją na podwórzach indywidualnych gospodarzy i należy wątpić, czy nadają się do użytku. Winę za taki stan rzeczy ponoszą kierownictwo naszego GOM oraz kierownictwo POM za brak nadzoru...”

— To skandal! To potwarz! — zawołał kierownik techniczny POM. — Sprawozdawczość mówi wręcz coś przeciwnego. Sprawozdawczość to grunt.

Po chwili jednak dodał półgłosem: — Zdaje mi się jednak, że będę musiał w najbliższych dniach wybrać się do GOM w Ząbkach Górnych. Bo jeżeli jednak korespondent miał rację?

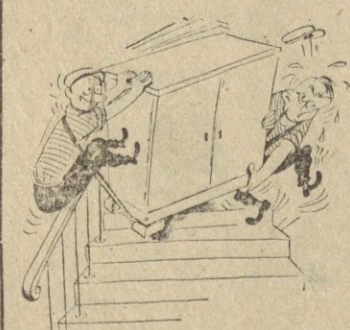
Tad. M.



— Czy nie sądził, mój drogi, że byłby już czas pójść do domu?



— Strasznie nam przyjemnie, a! spóźnialiśmy się, że spóźnić się jak zawsze!



— Wiesz! Nie należy do najbłyszczących, a! twojego tempa już dłużej nie wytrzymam (wg „Frischer Wind”)

Gdy obudził się Herr Droschke

Herr Anton Droschke był właścicielem składu broni w małym miasteczku w zachodnich Niemczech. Do czasu drugiej wojny światowej żył sobie cicho i spokojnie. We wrześniu 1939 roku zaledwie przekroczył granicę polską odniósł ciężką ranę. Był jedną z pierwszych ofiar w wojnie rozpętanej przez Hitlera. Dzięki zabiegom lekarskim wyzdrowiał, lecz nie na długo. W tej samej piwiarni, której był stałym bywalcem, z powodu nieprzystojnej propozycji pod adresem pulchnej blondynki Gertrudy, dostał w twarz tak silnie, że upadł. Padając uderzył się w róg stołu i stracił przytomność. Wyzdrowiał wprawdzie, lecz zapadł w sen na długi okres czasu. Odżywiano go regularnie, miał nawet apetyt, ale



świadomość nie wracała. Rzadki wypadek w medycynie.

Spał w ten sposób 14 lat. W jesieni w 1953 roku, pewnego pięknego poranka, Herr Droschke słodko się przeciągnął, otworzył oczy i jak gdyby nie powiedział:

— Proszę podać mi kawę. Lekarze z radością obstarpi choroego, którego przebudzenie było cudem medycyny. Podano mu kawę i zawiadomiono żonę, która rzuciła wszystko i wruszyła na natchnieniem pobiegła do szpitala.

— Ach, jakże postarzała się w ciągu jednego dnia! — skrzywił się Herr Droschke i odwrócił do ściany.

Lekarze uznali, że nie można choremu powiedzieć od razu, co się z nim stało, i jak długo spał. Ale przed, lub później wyjdzie chory na ulicę. Co robić? Lekarze bezsilnie wrzucali ramionami, a Frau Droschke wycierała chusteczką zalewione oczy.

Stało się jednak wkrótce to, czego obawiali się lekarze i żona. Herr Droschke ubrał się i w towarzystwie żony wyszedł na miasto.

Upłynęło zaledwie parę godzin. Herr Droschke wrócił do szpitala. Kapeluszek miał zadzierzasty, lekko zsunięty na bakier, oczy tryskały ogniem.

Był uosobieniem zdrowia i szczęścia.

— Heil Hitler! — zawołał Herr Droschke i wyciągnął napróżd rękę. Wspaniała pogoda! Atmosfera zgęszcza się. Mnie również ogarnęła ta napięta sytuacja wojenna.

Herr Droschke zapalił cygaro.

— Oto, widzicie panowie — mówił strząsając popiół z cygara — druga wojna się jeszcze nie zaczęła, a sytuacja już jest tak napięta. Widziałem naszych SS-owców. Wyglądają lepiej niż kiedykolwiek. A jakim wspaniałym pruskim krokiem maszerują! Lub weźmy chociaż, te nasze doskonale czolgi!

I nagle stuknął się w czoło. — Ach! Przy tym co za niespodzianka, panowie! Jestem wprost zachwycony. Gdy to zobaczyłem, nie uwierzyłem własnym oczom.

— Co takiego? — Jak to, co takiego! No, że Amerykanie są z nami. („Ludas Matyi” — hb)

Przestał pracować

Od dłuższego czasu nie widziałem się już z Tomaszewskim. Spotykam go niedawno.

— Jak się masz? — mówię serdecznie. — Co u ciebie słychać? Wciąż jeszcze pracujesz w tej Centrali?

— Teraz już nie pracuję...

— Przeniosłeś się do innej instytucji?

— Nie, lecz zostałem dyrektorem mojej Centrali. Z. G.

Jacek Poznański

Instruktorzy

Sala była zapełniona po brzegi. Prelegent rozpoczął wykład.

— Szanowni słuchacze! Jak co miesiąc zebraliśmy się dzisiaj, aby wziąć udział w seminarium samokształceniowym dla świetlicowych instruktorów teatralnych, zorganizowa-



nym przez ORZZ. Zapoznamy teraz koleżanki i kolegów z zagadnieniami reżyserii w teatrze świetlicowym...

Podczas gdy prelegent kontynuował swój wykład, w małym pokoiku obok sali zebrali

Sabina Plotkowiak

Znajomo - kumotrzy

Pewien dyrektor w pewnym małym biurze chciał personalne sprawy poddać dyktaturze. A robił to dlatego, gdyż jak mówił sobie: Stanowią kierownictwo jednoosobowe!

I oddał dziwne się zaczęły praktyki Pan dyrektor sam-ci zapelniał etyki. Dla żony więc bratanka, co na kontach zna się. Zrobił wnet całkiem wygodną posadkę w kasie. A kolega bratanka — leń od urodzenia. Objął nazajutrz referat zaopatrzenia. Potem żony znajomy z tejże samej racji Wpakował się szefowi do administracji. Lecz przedtem ten znajomy ściągając znajomego Bo właśnie był-ci vacat na finansowego Wreszcie i wujka znanego formalistę Przyjął. Na woźnego? Ale skąd. Na pianistę. Ciocia znów, że pochodziła z tego samego Pnia genealogicznego

Objęła wg siostrzeńca instrukcji Odpowiedzialny wydział dystrybucji I tak to pod znaczą opieką dyrektorską Życie płynęło jak w bajce. Beztrudno. Jak w kolorowym filmie Wprost — familijnie. — A co na to szef personalny?... Cóż tam szef kadr Kadrowy — proszę ja cioci, niechaj będzie rad Ze przecież za jego ja orzę tu referat... I na co zatrudnienia potrzebny mi urząd (Naprawdę nie wiem komu urzędy te służą...) I wyznaczając sam grupy (przez wzgląd na ciotkę) Przydzielił jej „piątkę” A że nie chciał się czubić z wujkiem Przeznaczył mu „trójkę” I sypały się grupy wśród cichej radości Każdemu według jego... krewno-znajomości.

Tak pewien dyrektor dumnie wznosząc głowę Pojmował kierownictwo jednoosobowe Tak długo trwały te jego praktyki Aż-ci się znalazł na ostrzu krytyki.

to się grono organizatorów im prezy.

— Frekwencja duża! — zauważył jeden.

— Sala nabita! — stwierdził drugi, zaglądając przez uchylone drzwi do sali wykładowej. — I pomyślcie: każdy za kład pracy posiadający świetlicę przysłał swego przedstawiciela. Najlepszy dowód jaką troską otaczają kierownictwa zakładów produkcyjnych poziom świetlicowych przedsta-

— Wiecie co? — zaproponował ktoś — przeprowadźmy ankietę wśród słuchaczy. Zapytajmy ich, jak nabyte tu wiadomości pomagają im w podwyższaniu poziomu pracy w świetlicach. Projekt przyjęto z zadowoleniem i już po chwili wkroczył do pokoju pierwszy z uczestników seminarium. Przewodniczący kolektwu instruktorów podsunął mu krzesło i zagał rozmowę:

— Czy dużo korzystacie z naszych seminariów, kolego?

— No pewnie! — odparł z przekonaniem zapytany. — Za wsze to miło na koszt firmy wyjechać na jeden dzień do dużego miasta, iść do teatru...

— A wykłady?

— No tak, dobre, ale gdyby było coś o gaszeniu pożaru...

Bo ja, proszę kolegów, strażak jestem.

— Nie kierownik świetlicy?

— Nie. Strażak.

Grono spojrzalo po sobie z niepewnymi minami. Pożegnało strażaka i już za chwilę rozmawiało ze słuchaczką kursu, młodszą panią, trzymającą w ręku gęsto zapisaną kartkę papieru.

— Jak widzimy, koleżanka pilnie notuje treść wykładu? — Tak. Chciałabym jak najwięcej skorzystać i zastosować wasze wskazówki przy organizowaniu przedstawień teatralnych w naszym zakładzie pracy.

— A koleżanka gdzie jest kierowniczką świetlicy?

— Nigdzie. Ja jestem przed szkolną.

— A kierownik świetlicy gdzie?

— Nie mógł przyjechać, bo bilans robi. Ale to bardzo ciekawe, co tutaj mówią. Porobiłam już notatki i zaraz po powrocie będę próbowała wystąpić z moimi dziećmi „Szstorm” Billa Białocerkiewskiego. Prelegent bardzo polecał te sztuki. Mówił, że trzeba czterdzieści osób. Właśnie tyle ile mam dzieci w moim przedszkolu.

Członkowie kolektywu instruktorów pobledli. Ostatkiem sił poprosili do pokoju dwie panienki w wieku tuż-po-szkolnym.

— Koleżanki prowadzą świetlicę w swoim zakładzie pra-

cy? — zapytał najodważniejszy.

— Nie. Skądże? — zachichotały zalotnie panienki. — Jesteśmy maszynistkami.

— A kierownik świetlicy, gdzie? Ma bilans, czy wyje-



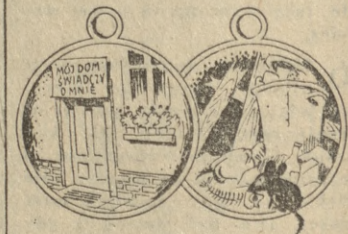
chał na delegację do Warszawy?

— Kierownik nie mógł dziś przyjechać, bo ma próbę zespołu świetlicowego.

Tu nastąpiła przerwa w rozmowie. Obie panienki ze strachem spoglądały na mdlejących po kolei członków kolektywu instruktorów teatralnych przy ORZZ w Poznaniu, po czym z krzykiem uciekły z powrotem na salę. Zaalarmowano pogotowie.

O dwóch stronach medalu

Spójrz na tego domu front — czystość — wprost uderza stąd, porządek tu na medal!



Lecz się zwiść tym, bracie, nie [da]! Spójrz od tyłu, na podwórzu — tam, gdzie śmieci sterty duże, brud, bałagan w każdym calu — druga strona to medalu! W. S.

ANECDOTY

Pierwsza sztuka teatralna Twaina „Pulkownik Sallers” zdobyła sobie wielkie powodzenie u publiczności. Toteż dyrektorzy teatrów zaczęli pisać zasypywać prośbami o napisanie dla nich nowej sztuki.

Pewnego razu zgłosił się do wielkiego humorysty reporter poważnej gazety oświadczać, iż słyszał, że pracuje on obecnie nad nowym utworem dramatycznym, pragnąłby dowiedzieć się bezpośrednio od niego, jak już dawno posunęła się jego praca.

— Może pan podać w swej gazecie — odrzekł Twain — że istotnie piszę sztukę, składającą się z czterech aktów i trzech antraktów, no i że ukończyłem już wszystkie trzy antrakty.

Traszkę

W rozterce
(wg „Krokodyla”)



— Pan naczelnik powiedział: występujcie z krytyką. Krytykujcie — powiedział — jak wygodnie, kolego, Ale nie wiem co zrobić, to zbyt wielkie ryzyko, Bo jak je m u wygodnie, nie powiedział mi tego...

SKORPION

O samokrytycznym

Samokrytyka? To mój oręż,

doceniam ją, szanuję!

Wszystko na własny... język biore i sam — stąd termin — krytykuje.

R. PODLEWSKI

Pewnemu

Depcesz ścieżki przez trawniki upór godny lepszej sprawy!

Więc ci powiem, człeku dziki.

osła ciągnie też do trawy!...

Rada dla bikiniarzy

w okresie porządków wiosennych

Cheecie dobry mieć interes?

Zróbcie szczożki ze swych plorez...

W. SCISŁOWSKI

